

BEST  SELLERS



CARLA NEGGERS

Księżycowy pocałunek





NEW YORK TIMES
BESTSELLING AUTHORS



Sentine



BEST SELLERS



WYDAWNICTWO MIRA
PASJA CZYTANIA KAŻDEGO DNIA

Księżycowy pocałunek

CARLA NEGGERS

Księżycowy pocałunek

Przełożyła:
Julita Mirska

Tytuł oryginału:

Kiss the Moon

Pierwsze wydanie:

MIRA Books, 1999

Redaktor prowadzący:

Mira Weber

Korekta:

Ewa Godycka

© 1999 by Carla Neggers

© for the Polish edition by Arlekin – Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o. Warszawa 2000, 2003, 2006

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie

Wydanie niniejsze zostało opublikowane w porozumieniu z Harlequin Enterprises II B.V.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Znak SMR jest zastrzeżony.

Arlekin Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o.
00-975 Warszawa, ul. Rakowiecka 4

Skład i łamanie:

COMPTEXT[®], Warszawa

Druk:

ISBN 83-238-1735-9

SMR

PROLOG

Frannie Beaudine odznaczała się inteligencją Katherine Hepburn i zmysłowością Marilyn Monroe, nic zatem dziwnego, że Colt Sinclair nie mógł uwierzyć w swoje szczęście. To, że tak wspaniała kobieta mogła zakochać się w nim, chudym dwudziestojednoletnim młodzieńcu, napawało go dumą i radością, jakiej nigdy dotąd nie zaznał.

Znajdowali się w należącym do Sinclairów apartamencie przy Parku Centralnym. Frannie chodziła tam i z powrotem po salonie, wzdłuż okien balkonowych, za którymi migotały światła Manhattanu. Długie, czarne włosy, upięte w elegancki kok, odsłaniały jej uszy, w których połyskiwały małe brylantowe kolczyki. Oczywiście nie były to prawdziwe brylanty; na takie nie było jej stać. Na wytworną suknię też nie; tę, którą miała na sobie, z czarnego aksamitu z głębokim dekoltem, pożyczła. Jedyne kolorowe akcent stanowiły jej usta i paznokcie – jaskrawoczerwone, seksowne.

Colt obserwował ją w milczeniu. Wiedział, że

komplementy tylko ją zirytują. Frannie nienawidziła być podziwiana za wygląd. Twierdziła, że uroda odciąga uwagę od innych jej atrybutów: była doskonałą pilotką, świetnym historykiem sztuki, kobietą odważną, niezależną, uwielbiającą przygodę i wyzwania. Pragnęła osiągnąć w życiu wszystko – tak powiedziała Coltowi latem w New Hampshire. Wtedy jeszcze nic ich nie łączyło; on był świeżo upieczonym absolwentem Dartmouth, nieśmiałym młodzieńcem z bogatej rodziny, ona zaś ubogą dziewczyną z niedużego miasteczka, która dzięki uporowi i pracowitości zdobyła sławę jako pilotka, jednocześnie studiując historię sztuki, nie na uniwersytecie, nie na kursach, nie u prywatnego nauczyciela, ale samodzielnie, w bibliotece publicznej.

Colt, który urodził się z tym „wszystkim”, o czym Frannie marzyła, wiedział, że prędzej czy później jej marzenia się spełnią. Wiedział również, że uroda na pewno nie stanie jej na przeszkodzie, przeciwnie – okaże się przydatna. I miał rację.

Frannie Beaudine... ta piękna, czarująca istota poprosiła go, żeby z nią wyjechał. A jeszcze dwa, trzy miesiące temu wydawała się taka chłodna, odległa, nieosiągalna. Skąd ta nagła zmiana? Colt wolał się nad tym nie zastanawiać. Tym bardziej iż czuł, że nie dorasta do pięt innym Sinclairom. Ojciec wytknął mu to zaledwie godzinę temu.

Ale teraz był z Frannie i tylko to miało dla niego znaczenie.

Jej niebieskie oczy lśniły z podniecenia, kiedy przystanąła na moment i popatrzyła na niego przenikliwie.

– Jesteś pewien, że samolot wystartuje bez problemu? – spytała.

– Absolutnie – odparł. – Wszystko jest zapięte na ostatni guzik. Jeśli nie zmienisz zdania, przed północą będziemy już w drodze.

Skinęła głową. Wszystko zaplanowali co do minuty. Najpierw zamierzali wstąpić na bankiet wydany z okazji przekazania przez rodzinę tak zwanej Kolekcji Sinclairów nowojorskiemu Metropolitan Museum of Art. Zeszłej jesieni ojciec Colta zaproponował Frannie pracę w charakterze kuratora wystawy, a ona chętnie skorzystała z okazji, aby przenieść się do Nowego Jorku. Colt prawie jej nie widywał. Całą zimę pracowała niezwykle ciężko, rzadko gdziekolwiek się pokazując; katalogowała dzieła sztuki, badała je, dokładnie sprawdzała pochodzenie i autentyczność wszystkich obrazów, rysunków i rzeźb, jakie Sinclairowie nabyli w ciągu ostatniego stulecia i składowali w wynajętym pomieszczeniu na dolnym Manhattanie. Ameryka Południowa i Środkowa, Afryka, Azja, Rosja, Australia – Sinclairowie wszędzie docierali i zewsząd przywozili cenne pamiątki. Frannie pracowała bez wytchnienia. Colt podziwiał jej poświęcenie, a zarazem martwił się o jej zdrowie. Wciąż była potwornie blada i zmęczona, mimo że od chwili, gdy ujrzał ją w muzeum i gdy wyróciła jego życie do góry nogami, minęło już sześć tygodni.

Czyli najpierw bankiet. Frannie koniecznie chciała usłyszeć słowa pochwały za przygotowanie tak wspaniałej wystawy. Colt świetnie ją rozumiał. Lubiła być doceniana, łaknęła sympatii i uznania.

Bankiet zamierzali opuścić wcześniej, osobno, w odstępie kilku minut. W hangarze na północy miasta czekały na nich walizki z ciepłym ubraniem oraz gotowa do lotu awionetka Colta, Piper Cub J3. Tam mieli rozpocząć swoją wielką, wspaniałą wyprawę. Nie było to polowanie na lwy w Afryce ani próba dotarcia na Everest, ale tak czy inaczej była to przygoda. W dodatku taka, o jakiej Colt marzył. Kochał Frannie całym sercem i duszą. Pragnęła z nim uciec, teraz, dzisiaj. Tylko to się liczyło. Nie musiał niczego latami planować, radzić się, zastanawiać. Musiał jedynie zaufać jej i podjąć szybko decyzję.

– A zatem ruszajmy w drogę – powiedziała Frannie. – Twój rodzice na pewno są już na miejscu...

– Jeszcze chwila, dobrze? – poprosił Colt. – Chciałbym się pożegnać z Brandonem.

Zauważył w jej oczach ślady zdenerwowania. Bała się, że jeżeli on, Colt, nagle się wycofa, to właśnie z powodu swojego młodszego braciszka.

– Śpi u siebie w pokoju.

– Pośpiesz się.

Szedł niemal bezgłośnie po miękkim, grubym dywanie; ręce miał spocone, a serce waliło mu jak młotem. Mijał wiszące na ścianach portrety i zdjęcia kuzynów, wujów i dziadków, wykonane podczas ich wypraw do różnych zakątków świata. Jego przygoda miała pozostać nie uwieczniona na kliszy. Nie szukał sławy ani rozgłosu.

Pragnął jedynie miłości Frannie Beaudine.

Zbliżywszy się do uchylonych drzwi, zwolnił

kroku. Po chwili otworzył drzwi na oścież. Na widok wyciągniętego na łóżku, śpiącego chłopca wzruszenie ścisnęło go za gardło. W blasku palących się za oknem latarni wyraźnie widział jego chude ciało w pizamie, którą zdobiły motywy wzornicze, przedstawiające samochody i ciężarówki.

Ku własnemu zdumieniu poczuł, jak lży pieką go w oczy. Podejrzewał, że nie zobaczy brata przez wiele miesięcy, może nawet przez rok. Do tego czasu Brandon przypuszczalnie rozstanie się z ukochanym misiem, a także straci tę cudowną zdolność do fantazjowania. Colt z rozrzewnieniem wracał myślami do swojego dzieciństwa: jako mały chłopiec najbardziej w świecie lubił wędrować po Muzeum Historii Naturalnej. Ojciec oczywiście uważał, że syn – podobnie jak wszyscy mężczyźni z rodu Sinclairów – marzy o dalekich podróżach. Colt natomiast, oglądając wspaniałe eksponaty, nie marzył o wyprawach do egzotycznych krajów, lecz próbował zanotować w pamięci kształty i kolory ptaków, zwierząt, narzędzi. Potem, w jakimś ciemnym kącie, gdzie nikt mu nie przeszkadzał i nikt go nie widział, wyciągał kartkę papieru, kawałek węgla i starał się odtworzyć to, co wcześniej zapamiętał.

Mężczyźni z rodu Sinclairów nie zostawiali artystami.

Gdyby Frannie się w nim nie zakochała, prawdopodobnie popełniłby samobójstwo, skacząc z Empire State Building. A wtedy już nigdy więcej nie ujrzałby Brandona. Teraz wyjeżdżał, ale przynajmniej istniała szansa, że kiedyś znów się spotkają.

Uśmiechając się czule, przyłożył dwa palce do czoła i zasalutował śpiącemu chłopcu, po czym wyszedł z pokoju i ruszył holem do salonu, w którym czekała na niego Frannie. Frannie nie miała braci ani sióstr; nie wiedziała, ile bólu może sprawić rozstanie z rodzeństwem.

Dziesięć minut później byli już w muzeum. Rozmawiali z innymi gośćmi, pili szampana i udawali, że nie są w sobie zakochani. Zdaniem Colta, Frannie była najpiękniejszą, najbardziej pociągającą kobietą na przyjęciu. Do każdego potrafiła się uśmiechnąć, z każdym zamienić słowo, bez względu na to, czy był to naukowiec, bogaty sponsor, dziennikarz czy klepiący biedę student akademii sztuk pięknych. Wszystkich traktowała jednakowo i z pasją w głosie opowiadała o wystawie, którą pomogła przygotować. Naprawdę była wspaniałą, wyjątkową kobietą i Colt wprost nie posiadał się z radości na myśl, że pokochała właśnie jego.

Świadomie unikał swojego ojca, Willarda Sinclaira; podejrzewał, że ojcu wystarczy jeden rzut oka, aby przejrzeć go na wylot i odgadnąć jego plany. A on chciał wymknąć się z bankietu nie zauważony, bez pożegnania. Z matką też nie zamierzał się żegnać. Zresztą trudno byłoby ją odciągnąć od przyjaciół i bufetu.

Na drugim końcu sali ujrzał Frannie, która, wyraźnie czymś zdenerwowana, zaczęła się oddalać ciemnym korytarzem, nie zważając na spojrzenia zdumionych strażników. Colt, czując, jak powoli ogarnia go panika, ruszył za nią. Na miłość boską, dokąd ta dziewczyna tak gna? Przecież za kilka

minut opuszczają przyjęcie! Kątem oka zerknął na ojca, który stał na środku sali, zabawiając grupkę słuchaczy opowieściami o niedawnej wyprawie w górę Amazonki. Gdyby tylko staruszek potrafił poświęcić tyle troski i uwagi swoim dwóm synom, pomyślał z goryczą Colt. Zrobiło mu się żal brata. Biedny Brandon miał dopiero jedenaście lat. Od jutra zostanie sam. On, Colt, który służył za pewnego rodzaju bufor pomiędzy coraz bardziej apodyktycznym starcem a pełnym energii jedenastolatkiem, wyjeżdża na dłuższy czas.

Po chwili otrząsnął się z melancholii i przyspieszywszy kroku, podążył za Frannie. Wkrótce zobaczył, jak wyjmuje ona klucz i otwiera drzwi do malutkiego gabinetu, który przydzielono jej na biuro. Oddech miała urywany, ruchy nerwowe. Weszła do środka, drzwi zostawiła uchylone. Colt czekał na zewnątrz, ukryty w cieniu, próbując zignorować złe przeczucie.

Po paru sekundach wyszła z gabinetu, śmiejąc się sama do siebie. W ręku trzymała czarną kasetkę wielkości niedużej walizki, w jakiej artyści zwykle przechowują pędzle i farby.

Colt postąpił krok do przodu. Frannie zamarła; krew odpłynęła jej z twarzy.

– Boże, Colt! Ale mnie wystraszyłeś!

– Co jest w tej kasetce?

Chwyciwszy go za łokieć, ruszyła holem.

– Nie mamy czasu na pytania – szepnęła nerwowo. – Musimy się zbierać do wyjścia. Już najwyższa pora!

– Frannie...

– No, chodź!

Przystanął. Nic nie mówił.

Kilka niesfornych kosmyków opadało jej na twarz, niebieskie oczy lśniły w ciemnościach, piersi falowały gwałtownie. Oddychała ciężko – nie ze strachu, ale z braku tchu. I z podniecenia.

Energiczna, pewna siebie, przekonana o słuszności tego, co robi. Po prostu Frannie!

Colt nigdy nie pytał, ilu mężczyzn w życiu kochała. Takich pytań nie zadawało się Frannie Beaudine. Miała dwadzieścia sześć lat i była piękna, inteligentna, żywiołowa.

– Colt... sama sobie nie poradzę...

Nie wykonał najmniejszego ruchu.

– Co jest w tej kasetce, Frannie?

Dolna warga jej zadrżała, w oczach pojawił się niepokój.

– Coś z Kolekcji Sinclairów, prawda? – spytał.

– Oczywiście, że coś z Kolekcji Sinclairów. Brylanty, Colt. Cudowne, drogocenne brylanty niewiadomego pochodzenia. Nikt poza mną nie wie o ich istnieniu. Leżały w tym zakurzonej magazynie od niepamiętnych czasów.

– Frannie... Nie mogę... Nie możemy...

– Musimy, Colt – oznajmiła z irytacją. – Tylko dzięki temu będziemy mogli być razem. Wiesz o tym równie dobrze jak ja. Proszę cię, chodźmy stąd. Jeżeli teraz znajdą nas tu strażnicy, to rano nie ujrzymy wschodu słońca w Kanadzie. Będziemy siedzieli za kratkami.

Poddał się. Nie miał innego wyboru. Przed muzeum zatrzymali taksówkę i podali adres lotniska, na

którym czekała gotowa do lotu awionetka. Przed sześcioma tygodniami Frannie poprosiła go, żeby z nią wyjechał. Nie posiadał się ze szczęścia. Teraz zdał sobie sprawę, że ojciec miał rację, nazywając go romantycznym głupcem.

W taksówce Frannie zacisnęła rękę na jego dłoni.
– Kocham cię, Colcie Sinclairze.

Może go rzeczywiście kochała. Spoglądał przez okno, gdy przejeżdżali mostem na drugą stronę rzeki. Noc była chłodna, lecz pogodna, a na niebie świecił księżyc w pełni. Colt wyobraził sobie, że jest w górze, na tej srebrnej planecie, i patrzy w dół na lśniąca, żółtą taksówkę, na piękną pilotkę, bogatego młodzieńca i skradzione przez nich brylanty. Wcześniej sądził, że zamieszkają gdzieś w Kanadzie i będą tam żyć, dopóki jego rodzina nie pogodzi się z ich miłością. Ale Frannie była niecierpliwa; chciała mieć wszystko, i to od razu.

Przez sześć tygodni Colt oszukiwał sam siebie, myśląc, że on jej wystarczy.

Przypomnił sobie, jak ubiegłego lata, w taką samą pogodną księżycową noc, czytał bratu „Wyspę skarbów” Stevensona. Ogarnęła go tęsknota; chciał być teraz z Brandonem, bawić się z nim, przygotowywać mu w kuchni ciepłe kakao.

A ojciec... Ależ się zdziwi! Tak, zdziwi się, że w żyłach syna płynie jednak krew Sinclairów. Jak prawdziwy Sinclair, Colt porzucił dom i brata, ponad spokój i stabilizację przedkładając egzotykę, tajemnicę, niepewność, przygodę.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Pięć godzin po tym, gdy weszła na teren Sinclairów w poszukiwaniu klonów, które można by ponacinać, Penelopa Chestnut usiadła zmęczona na granitowym głazie. Zgubiła drogę. Słońce chyliło się ku zachodowi, robiło się coraz chłodniej, ona zaś nie miała najmniejszego pojęcia, gdzie się znajduje. Na pewno była w New Hampshire, na pewno w lasach nad jeziorem Winnepesaukee, przypuszczalnie nadal na ziemi Sinclairów. Ale gdzie dokładnie – tego nie wiedziała.

Rodzice oczekiwali jej na kolacji o szóstej. Jeżeli się nie pojawi, zaczną się denerwować. Będą się denerwować całe dziesięć minut, po czym zmobilizują ekipę ratowniczą. Wyobraziła to sobie: psy, skutery śnieżne, helikoptery, faceci wyposażeni w buty z rakietami i latarki. Sami znajomi. W dodatku wszyscy źli, że zamiast spędzić ten marcowy wieczór w domu z rodziną, muszą łązić po lesie, dygocząc z zimna i grzęznąć po kolana w śniegu.

Miała ochotę zapaść się pod ziemię ze wstydu.

Nie lubiła być od kogokolwiek uzależniona. Już znacznie bardziej wolałaby przenocować w lesie. Mogłaby rozpaść ognisko, zagotować w menażce trochę wody uzyskanej ze śniegu i spokojnie poczekać do rana. Ponieważ niebo się przejaśniło, liczyła się ze sporym ochłodzeniem, ale to jej w niczym nie przeszkadzało. Marcowa pogoda – mroźne noce i kilka stopni ciepła za dnia – sprawiała, że drzewa nabrzmiewały sokami.

Pomijając wszystko inne, Penelopa była doświadczonym piechurem, zaprawionym we wspinaczce górskiej. Na pewno by nie zamarzła.

Na teren Sinclairów zawędrowała z powodu syropu klonowego. Wąski skrawek ich olbrzymiej posiadłości ciągnącej się przez środkową część stanu New Hampshire graniczył z dziesięcioma akrami ziemi, które Penelopa odziedziczyła po dziadku Samie. Na swoim terenie ponacinała już wszystkie klony i coś ją podkusiło, aby rozejrzeć się po terenie sąsiadów. Ubrana w ciepłą puchową kurtkę i grube rękawice, zaopatrzona w menażkę z wodą, jabłko i dwa pożywne batony, wyruszyła na godzinny spacer. Wędrowała przed siebie – tu polana, tam wzgórze, jedno, drugie, potem kamienny mur, rzeczka... i kiedy się w końcu spostrzegła, siedziała na glazie, nie mając pojęcia, gdzie się znajduje.

Po prostu nie szukała znaków rozpoznawczych. Jej uwagę zaprzętały inne rzeczy – to dzięcioł pukający w pień świerka, to gniazdo rybołowa zbudowane wysoko na uschniętej sośnie, to nieduży wodospad z cichutko szemrzącą wodą, to znów

myśl o pachnących słodkich bułeczkach, na które jutro zaprosiła ją Harriet. Obiecała kuzynce, że wpadnie do niej z wizytą po odwiezieniu dwóch biznesmenów do Portland w Maine. Oby tylko ojciec pozwolił jej zabrać pasażerów. Ostatnio miał spore zastrzeżenia do tego, jak lata. Brak koncentracji był groźny podczas pieszych wędrówek po lasach północnej Nowej Anglii, podczas lotów zaś mógł doprowadzić do tragedii.

Ale co tu myśleć o lotach. Była na ziemi, w lesie, zgubiła drogę i powoli zapadał mrok.

Miała nadzieję, że kiedy dotrze na szczyt wzgórza, dojrzy jakiś znajomy punkt, jezioro, strumyk, kamienny mur lub dym unoszący się z komina. A tu nic! Po prostu kolejne strome zbocze i kolejny głęboki wąwóz. Żadnych drogowskazów, żadnych punktów orientacyjnych. Co było robić? Zeszła na dół, po czym – zaciskając kciuki – zaczęła się wdrapywać na następne wzgórze.

– Muszę zjeść batonik – powiedziała sama do siebie, przerywając ciszę, która dudniła jej w uszach.

Ale ostatni zjadła kilka wzgórz i dolin temu.

Od wpatrywania się godzinami w iskrzący się śnieg rozboleła ją głowa. Zamrugła oczami, usiłując pozbyć się napięcia, ale niewiele to dało. Nie tylko nie wzięła z domu okularów przeciwsłonecznych, które bardzo by się przydały, ale nie zabrała też kompasu. Ani podręcznej apteczki. Wiedziała, że jeżeli potknie się i złamie nogę, będzie musiała czekać wieki, aż nadejdzie pomoc. Próbowwała zawrócić i iść po własnych śladach, były jednak mało

wyraźne, a poza tym krążyła po lesie już od ponad pięciu godzin. Przecież musiała istnieć jakaś krótsza i prostsza droga do domu.

Do zapadnięcia zmroku zostało najwyżej półtorej godziny. Psiakość! Jeszcze pięć godzin temu pomysł wybrania się do lasu wydawał się jej znakomity.

Promienie słońca przedzierały się niemrawo przez szare chmury, które od trzech dni zasnuwały niebo i wszystkim psuły humor. Na szczęście dziś w nocy miało się wreszcie roz pogodzić.

Stała nad wężozem i spojrzała w dół na strome, kamieniste zbocze, porośnięte drzewami, pokryte śniegiem i lodem. Słońce tam ledwo docierało. Mimo że temperatura wynosiła zaledwie kilka stopni powyżej zera, Penelopa czuła, jak pot spływa jej po plecach. Nie była odpowiednio ubrana do pieszej wędrówki po górach. Miała na sobie džinsy, czerwoną flanelową koszulę, w której zawsze chodziła po sok z klonów, na to włożyła grubą puchową kurtkę.

– No dobra, ruszaj w drogę! – mruknęła, nie mogąc dłużej znieść przeraźliwej ciszy.

Wstała z głazu i ostrożnie zaczęła schodzić w dół, gdy nagle poślizgnęła się na mokrych, brązowych liściach. Na szczęście zdołała utrzymać równowagę i nie przewrócić się, ale ze strachu serce podeszło jej do gardła. Złamana noga i hipotermia – tylko tego było jej trzeba. Zgarnęła z ziemi trochę śniegu i wrzuciła sobie za koszulę. Plecy miała tak rozgrzane, że śnieg natychmiast się stopił, ale przez chwilę czuła przyjemny chłód, który w dodatku

podziałal na nią kojąco. Akcja ratownicza? I co z tego? Bywają gorsze rzeczy na tym świecie. Musi się skupić i tak postępować, aby poszukującej ją ekipie maksymalnie ułatwić zadanie.

Załowiała, że nie ma przy sobie telefonu komórkowego. Albo racy. Czy chociaż pudełka zapalek.

Wtem kątem oka dostrzegła dziwny błysk, jakby słońce odbiło się od metalowej powierzchni. Cóż to może być? Zeszła parę kroków niżej, żeby mieć lepszy widok. Zmrużyła oczy, spoglądając pomiędzy świerkiem, sosną, bezlistną brzozą i dębem. W pierwszej chwili pomyślała, że promień słońca padł na głaz, w którym znajduje się sporo miki.

Ale nie, nie chodziło o mikę.

Skręciła nieco w bok. Zbocze było strome, śnieg śliski. Przytrzymując się cienkiego pnia brzozy, żeby nie ześlizgnąć się w dół, wychyliła się i wyteżyła wzrok.

Wśród kępy sosen, pomiędzy wystającymi ze śniegu głazami, zobaczyła stertę metalu. Latem przypuszczalnie nic by nie dojrzała, wszystko zakryłyby paprocie i bujne leśne runo. Ale nawet zimą, gdy krzewy i drzewa nie miały liści, łatwo było przeoczyć ten osobliwy stos. Gdyby nie to, że słońce padło na metalową powierzchnię akurat pod takim, a nie innym kątem, zapewne niczego by nie zauważyła.

Promień słońca odbił się od metalu. Metodą dedukcji Penelopa wywnioskowała, że powierzchnia nie może być zardzewiała, czyli że przedmiot leżący na stoku wykonany jest z aluminium.

Wstrzymała oddech. Czy... czy to możliwe?

Awionetka Piper Cub J3, którą lecieli Frannie Beaudine i Colt Sinclair, była lekkim samolotem o krytych płótnem aluminiowych skrzydłach i kadłubie. Czterdzieści pięć lat po tym, gdy w chłodną noc samolot rozbił się gdzieś nad Cold Spring w New Hampshire, po płótnie nie byłoby śladu. Ale zostałyby resztki wraku: pogięte pręty, rozpórki, fragmenty szkieletu, skrzydeł i ogona, kawałki porzewanego silnika.

Penelopa nie bardzo jednak wierzyła, że wrak znajduje się w tych stronach. Od dawna miała własną teorię na temat lotu, który odbyli młodzi kochankowie; podejrzewała, że wcale nie rozbili się w New Hampshire, tylko dolecieli do Kanady, a tam żyli długo i szczęśliwie.

Niestety, ta teoria nie zyskała potwierdzenia. Połyskująca w słońcu, ukryta wśród drzew na trudno dostępnym zboczu sterta metalu musiała być awionetką Frannie i Colta, po której ślad zaginął przed niemal półwieczem. Bo czymże innym mogła być?

Penelopa poczuła, jak dreszcz przebiega jej po krzyżu.

Od dziecka była zafascynowana historią kochanków, których spotkał tak tragiczny los. Już jako mała dziewczynka, ilekroć szła przez las, wypatrywała szczątków samolotu. Później zaczęła zbierać informacje o Colcie i Frannie: relacje prasowe opisujące wielotygodniowe poszukiwania, jakie prowadził ojciec Colta, Willard Sinclair, a także artykuły na temat słynnej Kolekcji Sinclairów, przygotowanej przez Frannie, która przejrzała

i uporządkowała tysiące „pamiętek”, jakie Sinclairowie przywieźli z licznych wojaży po świecie. W ciągu ostatniego roku Penelopa przeprowadziła mnóstwo rozmów z mieszkającymi w pobliżu ludźmi, którzy znali Frannie Beaudine zarówno wtedy, gdy była dzieckiem, jak i młodą kobietą, oraz z tymi, którzy znali Sinclairów. Mężczyźni z rodu Sinclairów często przyjeżdżali do swojej posiadłości nad jeziorem Winnepesaukee, wspinali się po górach, łowili ryby, chodzili na polowania, żeglowali. Wszyscy byli absolwentami uniwersytetu w Dartmouth. Colt dopiero co skończył studia, kiedy ślad po nim zaginął.

Niezwykle dokładne i długotrwałe poszukiwania samolotu nie przyniosły żadnych rezultatów. Willard Sinclair dowiedział się jedynie tyle, że tego wieczoru kilka osób widziało przelatującą nad Cold Spring awionetkę. Oczywiście nikt nie mógł na sto procent stwierdzić, że była to należąca do Colta maszyna Piper Cub J3, ale raczej wszystko na to wskazywało. W każdym razie, kiedy nadeszła z Nowego Jorku wiadomość, że samolot z Coltem i Fran- nie zaginął, poszukiwania zaginionych skupiły się głównie w tym rejonie.

Po pewnym czasie zaprzestano wysiłków. Większość ludzi uważała, że jeśli samolot faktycznie rozbił się w New Hampshire, prawdopodobnie spoczywa w jednym z licznych w tej okolicy jezior lodowcowych. Na przykład Winnepesaukee miało w wielu miejscach głębokość trzydziestu metrów; nie sposób było zbadać całego dna. Tak czy inaczej uznano, że dalsze poszukiwania nie mają sensu;

jeżeli ktoś kiedyś odnajdzie wrak w wodzie czy na lądzie, stanie się to przez przypadek.

Od czterdziestu pięciu lat, czyli od śmierci Colta i Frannie, nikt z rodziny Sinclairów ani razu nie pokazał się w Cold Spring.

Oczywiście, pomijając Harriet.

Harriet była... no cóż, dziwna. Nieprzewidywalna. Penelopa wzięła się w garść. Nie mogła jednocześnie myśleć o odnalezionym wraku, o czekającej ją nocy pod gołym niebem i o tym, jak jej kuzynka zareaguje na wiadomość o znalezisku.

Ponownie wbiła wzrok w stertę metalu. Nie miała wątpliwości, że jest to samolot. Wiedziała też, że wszyscy w New Hampshire dojdą do tego samego wniosku co i ona, a mianowicie, że tu, na tym zboczu, rozbiła się awionetka, którą podróżowali Colt Sinclair i Frannie Beaudine.

Z tak dużej odległości nie potrafiła odgadnąć, dlaczego samolot uderzył w strome zbocze. Tamtej pechowej nocy musiał lecieć nisko nad ziemią, może ocierając się o korony drzew. Przypuszczalnie nastąpiła awaria silnika. Frannie i Colt, domyślając się, co ich czeka, pewnie żegnali się nerwowo. Penelopa nie była z natury romantyczką, ale kiedy wyobraziła sobie parę młodych, zakochanych ludzi, którzy za moment mają zginąć, lzy wypełniły jej oczy.

Stała bez ruchu, czując, jak jej serce bije mocno. Żeby dotrzeć do wraku, musiałyby pokonać kawał drogi po śliskim, miejscami niemal pionowo wznoszącym się zboczu, obejść kilka oblodzonych głązów, przejść po paru zwalonych drzewach.

Wymagałoby to mnóstwa czasu, którego nie miała, i pociągało za sobą niepotrzebne ryzyko. Przemknęło jej przez myśl, że skoro samolot Frannie i Colta leży tu od czterdziestu pięciu lat i jeszcze nikt go nie znalazł, to co by było, gdyby ona zwichnęła nogę i musiała czekać na pomoc?

Nie zamierzała ryzykować.

Miała jednak świadomość, że nikt w Cold Spring nie doceni jej rozsądku i powściągliwości. Wystarczyło, że się zgubiła w lesie. Wszyscy znów będą gadać, że zachciało jej się przygody, że zachowała się nieodpowiedzialnie i powzięła ryzyko, nie przejmując się innymi, nie troszcząc o to, że ktoś będzie musiał się ciepło ubrać i wyjść na mróz, żeby ją odnaleźć.

Skrzywiła się na myśl o swoich dawnych wyczynach. Ale, na miłość boską, nie miała dwunastu lat. Była trzydziestoletnią kobietą. Dawno jej się nie zdarzyło zgubić drogi powrotnej do domu.

Łyse, pozbawione liści czarne drzewa rysowały się na tle szarego nieba. O tej porze roku świat, jak zwykle, wyglądał dość ponuro. Penelopa otrząsnęła się. Wkrótce słońce zajdzie, zrobi się ciemno, temperatura spadnie poniżej zera.

Skup się, rozkazała samej sobie. Wiedziała, że musi wziąć się w garść, zastanowić, w którą stronę iść, żeby dotrzeć do miasteczka. Odrywając wzrok od rozbitego samolotu, ruszyła wolno po mokrym śniegu; ostrożnie wyminęła jeden głaz, drugi, obezšla kępę młodych drzew i krzaków, potem, ślizgając się po oblodzonym gruncie, dotarła na dno wąwozu. Nie było żadnego strumyka, żadnych ście-

żek, żadnego muru, żadnych ambon na drzewach. Nic nie wskazywało na to, że ktokolwiek tędy chodził. Nic dziwnego, że wrak leżał nie odkryty przez ponad czterdzieści lat.

Wrak samolotu, a w nim ciała Colta i Frannie.

Nagle Penelopa zamarła. Przed oczami stanęła jej para młodych roześmianych ludzi wsiadających do awionetki, a po chwili dwa szkielety we wraku na stromym wzgórzu. Zgubiwszy się w lesie, znalazła rozwiązanie zagadki sprzed niemal pół wieku, a jednocześnie ślady tragedii, jaka się tu wydarzyła. Dwoje ludzi straciło życie.

Starając się o tym nie myśleć, zaczęła się wspinać na kolejne wzgórze. Nogi ją bolały, burczało w brzuchu, który domagał się jedzenia. Marzyła o tym, żeby być w domu, coś zjeść, napić się, odpocząć. Wtedy mogłaby spokojnie się zastanowić, co ma zrobić ze swoim odkryciem, kogo zawiadomić o leżącej na stoku awionetce...

Rozległ się trzask, jakby ktoś nadepnął na gałąź. Penelopa zatrzymała się. Wytężyła słuch.

Cisza. Może to była wiewiórka, pomyślała. Albo ptaki na sąsiednim drzewie. Nie była pewna.

– Jesteś zmęczona – powiedziała do siebie.

A może sarna albo łoś. To niewykluczone. Lub niedźwiedź, który zbudził się z zimowego snu.

No dobrze! Pora wracać do domu.

Miała przemoczone buty. Na szczęście jeszcze się jej nie porobiły bąble na stopach. Gdyby wiedziała, że tyle czasu będzie chodziła po lesie, włożyłaby porządne, nieprzemakalne śniegowce. Ale któż mógł przewidzieć, że się zgubi?

Raptem, ku swojemu zdumieniu, ujrzała odcisnięte w śniegu ślady stóp. Nie łosia, sarny czy niedźwiedzia, ale ludzkich stóp. W dodatku nie własnych. Były duże. Prawdopodobnie zostawił je mężczyzna. Odwróciła się i spojrzała na wzniesienie, z którego przed chwilą zeszła. Widziała śnieg, szare głązy, szare drzewa, szare niebo. Wraku nie było widać. Metalowa sterta zniknęła, jakby była fatamorganą na pustyni.

Ślady prowadziły w dół zbocza, między drzewami, nieco na lewo od jej śladów. Były stosunkowo świeże. Słońce jeszcze ich nie roztopiło, a śnieg nie zasypał – ostatni raz padało dwa dni temu, ku radości narciarzy, którzy marzyli o tym, aby zima trwała jak najdłużej.

Ale kto mógł dotrzeć aż tu, do serca lasu, tak daleko od miasteczka? Dotrzeć tu, dojrzeć wrak i nikomu o tym nie wspomnieć?

– Bubba Johns – odpowiedziała na własne pytanie.

No jasne! Tylko na nim wrak nie zrobiłby wrażenia.

Penelopa odetchnęła z ulgą i poczuła, jak opuszcza ją napięcie. Nie bała się Bubby. Był to miejscowy pustelnik, samotnik, który pojawił się w tych stronach dwadzieścia lat temu i zamieszkał w prymitywnej chacie na ziemi Sinclairów. Nikomu to nie przeszkadzało, ani mieszkańcom Cold Spring, ani tym bardziej Sinclairom, którzy zapewne nawet nie wiedzieli o jego istnieniu.

– Bubba! – zawołała. – Bubba, to ja, Penelopa Chestnut! Bubba!

Wydawało jej się, że czuje na sobie jego wzrok. Oczy miał szare, niemal identycznej barwy jak broda, która była długa i skłębiona, i podobnego koloru jak włosy, które też chyba nie znały grzebień. Bez względu na to, do kogo prawnie należała ta ziemia, Penelopa zawsze wiedziała, że porośnięte lasem wzgórza nad jeziorem Winnepesaukee to królestwo Bubby Johnsa. Kiedy była mała, rodzice ostrzegali ją, żeby nie wchodziła na teren Sinclairów – nie dlatego, że nie wypada, bo to własność prywatna, ale dlatego, że może się tam natknąć na Bubbę. Któregoś dnia, może miała wtedy z dziesięć lat, wybrała się sama do lasu, spacerowała, oglądała drzewa, rośliny, snuła marzenia. Dopiero gdy zapadł mrok, uświadomiła sobie, że nie zna drogi powrotnej. Bubba wyrósł jak spod ziemi i bez słowa odprowadził ją do domu. Była przerażona; natychmiast przypomniała sobie bajkę o Czerwonym Kapturku i niedobrym, podstępny wilku. Chyba spodziewała się, że Bubba zrzuci ją ze skały albo upiecze na ogniu, lecz mimo to posłusznie za nim dreptała. Nie tylko dreptała, ale i cały czas do niego mówiła. Po prostu buzia jej się nie zamykała. Bubba nie odezwał się słowem. Zostawił ją na podjeździe przed domem jej rodziców, po czym odwrócił się i znikł. Nie oczekiwał podziękowań ani zaproszenia na podwieczorek. Rodzice nie byli pewni, czy wierzyć córce. Czy dziewczynka nie wyssała sobie z palca historyjki o tym, jak się zgubiła i jak chudy, obdarty pustelnik odprowadził ją niemal pod same drzwi ich domu.

Bubba Johns był częścią tej ziemi, miał takie

same prawa do tych wzgórz jak losie, sarny, jastrzębie czy wiewiórki. Penelopa, podobnie jak reszta mieszkańców Cold Spring, nie wtrącała się do jego życia. Skoro przedkładał ciszę i samotność nad towarzystwo ludzi, postanowiła mu się nie narzucać.

Ruszyła w dalszą drogę. Słońce kryło się za horyzont, a niebo na zachodzie przybierało coraz bardziej intensywne odcienie różu i czerwieni. Widok był niesamowity. Korciło ją, aby wyciągnąć się na śniegu i po prostu nacieszyć wzrok tym niespotykanym pięknem. Ale wiedziała, że nie może sobie na to pozwolić. Brnęła dalej, nogi miała ciężkie jak z ołowiu, w głowie jej się kręciło. Rozmyślała o Colcie Sinclairze i Frannie Beaudine, leżących w pogiętej metalowej trumnie, a także o Bubbie Johnsie, który krążył nieopodal, zastanawiając się, czy ona, Penelopa, trafi sama do domu, czy może trzeba jej będzie pomóc.

Wyatt Sinclair wiercił się przez całą noc i wreszcie tuż przed świtem poddał się; zrzucił z siebie koc i wstał z łóżka. Nie wiedział, która dokładnie jest godzina, gdyż Madge, jego była dziewczyna, kazała mu usunąć budzik ze stolika nocnego. Złe chi, oznajmiła. On sam też miał złe chi. Okropnie złe chi. Jakby tego było mało, za pomocą specjalnego programu sporządziła kilka wykresów astrologicznych. Wpisała do komputera dzień, godzinę i miejsce urodzin Wyatta, w zamian zaś otrzymała informację, która ją wystraszyła. Nie zważając na nic, natychmiast zaczęła się pakować.

– Muszę się wyprowadzić – rzekła, wrzucając ubrania do walizki. – Masz wokół siebie zbyt wiele niedobrej energii. Jesteś... prawdę mówiąc, Wyatt, po prostu jesteś niebezpiecznym sukinsynem.

Wyatt uśmiechnął się szeroko, pokazując zęby.

– Bez komputera tego nie wiedziałas?

Ale Madge wcale nie żartowała. Dziesięć minut później zatrzasnęła drzwi. Zostawiła kota. Była uczulona na jego sierść, przynajmniej tak twierdziła.

Wyatt wyszedł z sypialni do salonu, potykając się po drodze o zwiniętego w kłębek kocura. Zwierzę wstało, zaczęło się leniwie przeciągać. Było to zwykłe kocisko, chude, o krótkiej, szarej sierści, żółtych oczach i paskudnym charakterze. Madge nazwała go Sarsaparillą, Wyatt jednak uważał, że imię to jest zbyt pretensjonalne i wołał na kota: Sapek.

Mieszkanie w Nowym Jorku, plus kot, minus Madge. Nic dziwnego, że nocami wiercił się z boku na bok, nie mogąc zasnąć.

Zapalił światło, włączył ekspres do kawy, nalał do szklanki soku pomarańczowego i sięgnął po pilota. Na ekranie telewizora pojawił się napis „Headline News”. Wyciągnąwszy się na kanapie, Wyatt zauważył widoczny w rogu ekranu zegar: było osiemnaście minut po czwartej. Wcześniej, zwłaszcza jak na Nowy Jork. O tej porze w mieście panowała cisza, a przynajmniej on w swoim mieszkaniu na czwartym piętrze nowojorskiej East Side nie słyszał żadnych dobiegających z dołu odgłosów.

Dziwne to było miasto i różne wzbudzało w nim

emocje, ale na ogół je lubił. Tu się urodził i dzięki matce, pierwszej z trzech żon Brandona Sinclaira, tu chodził do szkoły podstawowej, od pierwszej klasy aż do ósmej. Potem do głosu doszli Sinclairowie; postanowili, że mały Wyatt powinien się kształcić w porządnej szkole z internatem. Tak też się stało; najpierw studiował w Dartmouth, później w Whar-ton. Po studiach sporo podróżował, mieszkał to tu, to tam, a półtora roku temu wrócił do Nowego Jorku, miasta swojego dzieciństwa. Kto by pomyślał?

Gdyby nie śmierć Hala, kto wie, może nadal prowadziłby obserwację ptaków i roślin w odległych rejonach Australii oraz Ameryki Południowej. Ale Hal zmarł i, chcąc nie chcąc, Wyatt musiał wrócić do domu.

Przez chwilę obserwował reportera na ekranie telewizora, po czym ziewnął szeroko – nie dlatego, że był zmęczony, lecz z nudów. Może inni żyli w ciągłym stresie, ale nie on. Wiódł komfortowe życie. Miał pieniądze, jedzenie, mieszkanie, dobrą pracę. Pracę... no właśnie, za pięć godzin zasiądzie przy biurku w swoim gabinecie na Wall Street.

Okna gabinetu wychodziły na port. Widok z tych okien zapierał dech w piersi.

Obejrzał reklamę środków przeciw zatwardzeniu, a po niej krótką relację na temat najnowszego skandalu w Waszyngtonie. Już miał zmienić program, kiedy dziennikarka prowadząca blok informacyjny zapowiedziała kolejny temat.

– Może wkrótce poznamy rozwiązanie jednej z najbardziej tajemniczych zagadek ostatniego pół-

wieczą. Mieszkanka stanu New Hampshire twierdzi, że znalazła awionetkę, którą lecieli Frannie Beaudine i Colt Sinclair, kiedy słuch po nich zagiął.

Wyatt poderwał się z kanapy i wzmocnił dźwięk.

Kobieta nazywała się Penelopa Chestnut i mieszkała w Cold Spring. Na rozbity samolot natknęła się w niedzielę, kiedy wybrała się na spacer po okolicznym lesie. Dzisiaj, we wtorek, zaprowadzi na miejsce wypadku przedstawiciele lokalnych władz, którzy dokonają oficjalnych oględzin maszyny.

Brandon Sinclair, kontynuowała dziennikarka, z którym telewizja połączyła się w jego letnim domu na wyspie St. Croix, odmówił komentarza.

Wcale to Wyatta nie zdziwiło. W rodzinie Sinclairów wiele było tajemnic i skandali, ale zniknięcie Colta wywołało najwięcej szumu. Od tamtej pory parokrotnie pisano o Sinclairach, ostatni raz przy okazji wypadku na Tasmanii, w którym zginął Hal, a Wyatt o mało nie rozstał się z życiem. Ojciec Wyatta, Brandon, rozpacział, iż jego jedyny syn odziedziczył niespokojny charakter po swoich przodkach, śmiałkach, awanturnikach i amatorach przygód. Najbardziej znanym z nich był Roger Sinclair, który jako korsarz walczył z Anglikami w czasie rewolucji amerykańskiej. Oczywiście zbił majątek, oczywiście naraził się zarówno przyjaciołom, jak i wrogom, i oczywiście zginął, nim jeszcze osiągnął wiek średni.

Na ekranie telewizora pojawiło się słynne zdjęcie Frannie i Colta, wykonane tuż przed ich pechowym lotem. Ilekroć Wyatt na nie patrzył, nie mógł wyjść

ze zdumienia, jacy byli wtedy młodzi. Frannie, podobnie jak Penelopa Chestnut, pochodziła z Cold Spring; była historykiem sztuki, choć nie ukończyła żadnych studiów, i odważną pilotką, której inteligencją i urodą zachwycił się Colt Sinclair. Razem wymknęli się z bankietu, który odbywał się na terenie Metropolitan Museum of Art, wsiedli do należącej do Colta awionetki Piper Cub – i ślad po nich zaginął. Nie odnaleziono ani ich ciał, ani szczątków samolotu.

Aż do teraz, pomyślał Wyatt.

Zamiast zdjęcia swojego stryja i jego kochanki wolalby zobaczyć zdjęcie Penelopy Chestnut. Był doskonałym znawcą ludzkich charakterów; wierzył, że na podstawie zdjęcia potrafiłby ocenić, czy kobieta, która – jak twierdzi – znalazła wrak samolotu, mówi prawdę czy fantazjuje. Telewizja jednak nie tylko nie pokazała jej zdjęcia, ale nawet zdjęcia miasteczka Cold Spring w stanie New Hampshire.

Przez moment Wyatt wahał się, czy nie zadzwonić do ojca. Mimo upływu tylu lat, tajemnicze zniknięcie Colta było jak świeża rana w duszy Brandona Sinclaira; oddziaływało na jego zachowanie, na stosunek do syna. Brandon Sinclair rzadko mówił o bracie, zazwyczaj zbywał pytania na jego temat. Wyatt nie był pewien, z czego to wynika: z bólu i żalu czy z poczucia wstydu i zażenowania. Bo Brandon był człowiekiem niesłychanie skrytym, a nazwisko Colta nawet po czterdziestu pięciu latach potrafiło wzbudzić zainteresowanie mediów.

Przez całe swoje życie Brandon starał się zmienić sposób, w jaki Ameryka postrzegала ród Sinclairów.

Chciał, by pamiętano o ich osiągnięciach i zamiłowaniu do wiedzy, a nie o skandalach i przedwczesnych zgonach. Nie zamierzał pozwolić, aby przykład jego brata zaważył na losach następnego pokolenia. Powziął niezłomne postanowienie, że Colt będzie ostatnim Sinclairem, który – powodowany beztrąską, lekkomyślnością, żądzą przygód – pozostawi po sobie pograżonych w rozpacz rodziców, żonę, dzieci, młodszych braci.

To nie znaczy, że Brandon kiedykolwiek mówił o swoich uczuciach do starszego brata: o miłości i tęsknocie, o żalu i pretensjach o to, że Colt go porzucił, skazał na ból i samotność. Ale Wyatt dobrze wiedział, że Sinclairom miłość nie wystarcza do szczęścia. To było ich przekleństwo. Przekleństwo, od którego nie umieli się wyzwolić. Przepaść, której nie potrafili zasypać. Nie pomagały nowe wyzwania, nie pomagały pieniądze. Bez względu na to, ile lwów ustrzelili, ile szczytów zdobyli, ilu odkryć dokonali, wciąż coś ich gnało naprzód.

Ciekaw był, kiedy ojciec zdał sobie sprawę, że pod tym względem on, Wyatt, nie różni się od swoich przodków. Że jest kolejnym Sinclairem, podążającym drogą pełną niebezpieczeństw i przygód.

Chociaż nie, ta droga należała już do przeszłości. Po tragedii na Tasmanii Wyatt postanowił się zmienić. Wybrał biurko, garnitur, pracę, w której mógłby wykorzystać zdobytą na studiach wiedzę. Z pieniędzy zgromadzonych w funduszu powierniczym zrezygnował dawno temu, podczas jakiejś awantury

z ojcem. Ale nie klepał biedy. Nawet wydziedziczony, Sinclair potrafił znów szybko zdobyć fortunę.

Kocisko wskoczyło mu na kolana i zaczęło przebierać łapami, moszcząc sobie wygodne legowisko. Wyatt wyłączył telewizor; przez kilka minut siedział bez ruchu, słuchając, jak w ponury marcowy poranek miasto powoli budzi się do życia. Ciszę przerywał warkot śmieciarek i taksówek, szczenie wyprowadzanych na spacer piesków, wycie pędzącej na sygnale karetki. Chociaż Wyatt nie przepadał za kotami, pogłaskał za uszami Sapka. Po długim namyśle doszedł też do wniosku, że Penelopa Chestnut i odkrycie, jakiego dokonała w lesie nad jeziorem Winnepesaukee, wcale go nie obchodzą. Jego sprawą było wskrzeszenie w sobie dość energii i zapału, aby na dziewiątą dotrzeć do pracy.

O dziewiątej piętnaście siedział przy biurku, a obok, przy oknie z widokiem na port, stał Jack Dunning. Był to wysoki, szczupły mężczyzna o jasnych, spłowiałych od słońca włosach, ubrany w dżinsy i kowbojskie buty. Urodzony w Brooklynie nowojorczyk, który przeniósł się do Teksasu. Wyatt przyglądał mu się bez słowa. Przez wiele lat Jack Dunning pracował w Dallas jako prywatny detektyw, ale najwyraźniej klimat teksański mu się znudził, bo jakiś czas temu postanowił wrócić na stare śmieci. Jego głównym klientem był Brandon Sinclair, człowiek nie tylko bardzo bogaty, ale również bardzo podejrzliwy, pragnący chronić siebie, swoją żonę, dwie byłe żony, syna oraz dwie

córki przed wszelkimi łotrami, porywaczami, oszustami, wariatami. Jack chętnie dbał o bezpieczeństwo swojego szefa i jego rodziny. Ciągłe powtarzał, że kiedy zarobi dość pieniędzy, kupi rancho w zachodnim Teksasie i przejdzie na zasłużoną emeryturę. Nowy Jork działał mu na nerwy: wszyscy zawsze dokądś pędzili, a kobiety nosiły się na czarno, jakby nie znały żadnych innych kolorów.

– Ładny widok – powiedział, spoglądając na Wyatta.

Wyatt uśmiechnął się.

– Statua Wolności kojarzy mi się z tolerancją.

– A mnie z frajerstwem.

Wyatt nie był pewien, czy detektyw mówi serio, czy żartuje. Odkąd półtora roku temu wrócił do Nowego Jorku, przekonał się, że Jack Dunning wcale nie jest tak prostym, nieskomplikowanym człowiekiem, za jakiego próbuje uchodzić. Kanciaste rysy twarzy i szare oczy o chłodnym, nieprzeniknionym, spojrzeniu sprawiały, że trudno było go rozgryźć. Mógł mieć zarówno pięćdziesiąt lat, jak i sześćdziesiąt. Nie chodzi o to, żeby Wyatt jakoś szczególnie się tym człowiekiem interesował. Jack pracował dla jego ojca. Skoro tu przyszedł, uczynił to na polecenie Brandona Sinclaira.

– Słyszałeś o awionetce twojego stryja? – spytał detektyw.

– Tak, mówili o tym w porannych wiadomościach.

Nie przyznał się, że słuchał wiadomości o czwartej nad ranem. Nie chciał dostarczać Dunningowi

żadnych informacji o sobie, nawet takich, że cierpi na bezsenność.

– W porannych, powiadasz? W takim razie nie jesteś na bieżąco. Otóż ta kobieta, Penelopa Chestnut, która znalazła samolot... wyobraź sobie, że nagle zmieniła zdanie. Twierdzi, że się pomyliła. Że to nie był samolot. Podobno była bardzo zmęczona, na granicy hipoglikemii, wystraszona i zdezorientowana...

– Zdezorientowana?

– Tak. Łaziła po lesie, łaziła, aż w końcu się zgubiła. Dopiero wieczorem, kiedy rodzina zorganizowała już akcję poszukiwawczą, udało jej się odnaleźć drogę do domu. Wczoraj, czyli w poniedziałek, wróciła na miejsce „katastrofy” i przekonała się, że to, co widziała w niedzielę, to nie był żaden samolot, tylko jakieś stare złomowisko, pewnie z przełomu wieków.

Wyatt przez chwilę dumiał nad tym, czego się dowiedział. Pomyłka? Hm! To dziwne. Nie spodziewał się tego po Penelopie Chestnut, a z drugiej strony nie znał jej i nie miał powodu czegokolwiek się po niej spodziewać.

– Czyli zniknięcie Colta i Frannie wciąż pozostaje zagadką?

– Jeśli wierzyć tej Chestnut. Rzecz w tym...

– Jack odwrócił się od okna. Nic nie wskazywało na to, że czuje się nieswojo w elegancko umeblowanym gabinecie na Wall Street. – Rzecz w tym, że teraz nie potrafi nawet odnaleźć złomowiska.

– Jak to? – zainteresował się Wyatt.

– Ano tak. Podobno wczoraj szła po śladach,

jakie zostawiła w niedzielę, co i tak nie było łatwe, bo w ciągu dnia śnieg trochę się stopił. Dziś zamierzała zaprowadzić tam kilku przedstawicieli władz miejskich, ale w nocy padało i ślady znikły. Wstała o świcie, krążyła po lesie, ale nie umiała trafić na zbocze, na którym leżała sterta złomu. Może wiosną zdoła je odnaleźć.

Wyatt odchylił do tyłu obity lśniąca skórą fotel i zmarszczył czoło. Wersja ze złomowiskiem nie brzmiała, jego zdaniem, zbyt przekonująco.

– Co o tym myślisz? – spytał Dunninga.

– Że baba łże. Mieszka tam od urodzenia. Zna te lasy jak własną kieszeń, pamięta każdy kamień, każde drzewo. Zarówno latem, jak i zimą. Nikt mi nie wmówi, że jest inaczej.

– A co sądzi mój ojciec?

Jack Dunning wykrzywił usta w uśmiechu. Choć nie był przystojnym mężczyzną, zwracał na siebie uwagę. Wyatt wyczuł, że detektyw darzy autentyczną sympatią swojego pracodawcę, mimo iż ich charaktery były zupełnie odmienne.

– Twój staruszek to rasowy dyplomata. Poprosił, abym pojechał do Cold Spring i zbadał sprawę. New Hampshire w marcu! O niczym bardziej nie marzę! Ale tam pojedę.

– Dobrze. Ale dlaczego o wszystkim mnie informujesz?

Uśmiech na twarzy detektywa zgasł.

– Wypełniam polecenia.

No tak, pomyślał Wyatt, mogłem tego oczekiwać.

– W porządku. Dzięki za najświeższe wiadomo-

ści. Daj znać, gdybyś potrzebował pomocy. Masz mój numer, prawda?

– Mam wszystkie twoje numery. No, czas na mnie! Do zobaczenia, Wyatt.

Pół godziny po wyjściu detektywa Wyatt Sinclair wciąż siedział przy biurku, wpatrując się tępo w wydruk komputerowy. Zgodnie z poleceniem szefa, sekretarka nie łączyła żadnych rozmów. Wreszcie Wyatt wstał i podszedł do okna. Statuę Wolności okrywała mgła. Jack Dunning miał rację. Opowieść Penelopy Chestnut nie trzymała się kupy.

Zadzwoił do ojca. Nakręcając numer, wiedział, że to nic nie da. Ojciec nie udzieli mu żadnych wyjaśnień, przypuszczalnie więcej szczegółów byłby skłonny zdradzić detektywowi niż rodzonemu synowi. Jack to zawodowiec. Ktoś, kogo się wynajmuje, komu się płaci. Kogo można kontrolować.

– Wyatt! Jak to miło, że dzwonicz – rozległ się w słuchawce głos Brandona Sinclaira. – Jak tam pogoda w Nowym Jorku?

– Mglisto. Słuchaj, tato! Przed chwilą odwiedził mnie Jack Dunning. Powiedział, że wysyłasz go do New Hampshire, żeby sprawdził, która z dwóch wersji jest prawdziwa...

– Tak. Jeżeli ta kobieta naprawdę się pomyliła, jeżeli coś się jej przywidziało i teraz próbuje ratować swój honor, to wszystko jest w porządku. Niech sobie mówi, co chce. Ale jeżeli widziała wrak i z jakiegoś powodu stara się zachować tę informację dla siebie, to chcę wiedzieć, dlaczego to robi. I oczywiście chcę odnaleźć samolot Colta. – Brandon Sinclair był opanowany, głos mu nie drżał,

zupełnie jakby dalej rozmawiali o pogodzie. – Nie miałbym nic przeciwko temu, aby po tylu latach dowiedzieć się wreszcie, co się wydarzyło tamtej pechowej nocy.

– Ufasz Dunningowi?

– Płaczę mu dostatecznie dużo, aby nie musiał mnie oszukiwać.

Wyatt nie skomentował tego. Jego zdaniem pieniądze i zaufanie niekoniecznie chodzą ze sobą w parze.

– No, dobra. To nie moja sprawa... Czy to wszystko, ojcze?

W słuchawce zaległa cisza.

– Nie rozumiem – odparł po chwili Brandon Sinclair. – A co jeszcze chciałbyś usłyszeć?

– Sam nie wiem. Zawsze mi się wydawało, że za zniknięciem Frannie i Colta kryje się coś więcej. Coś, o czym nie mówisz...

– Nonsens, chłopcze. Słuchaj, może byś wpadł do nas w najbliższy weekend, co? Ann i ja dawno cię nie widzieliśmy, a dziewczynki... Wiesz, jaką frajdę byś im sprawił.

Ann była trzecią żoną Brandona; mieli dwie córki – dziewięcioletnią Ellen i jedenastoletnią Beatrix.

– Marzec w Nowym Jorku bywa paskudny...
– dokończył starszy pan.

– Dzięki za zaproszenie, tato. Ale nie wiem, czy uda mi się wyrwać. Tak czy inaczej, dam ci znać.

– W porządku, Wyatt... A wysłanie Jacka do Cold Spring to dobry pomysł, wierz mi. Miejscowi obwiniają o wypadek Colta, bo Frannie Beaudine pochodziła z tamtych stron.

– Rozumiem.

Kiedy się rozłączyli, Wyatt ani chwili się nie wahał. Powiedział sekretarce, że musi na kilka dni wyjechać z Nowego Jorku i prosił, aby przez ten czas miała wszystko na oku. Następnie zjechał windą na dół do holu i wybiegł przed budynek, gdzie złapał taksówkę. Kazał się zawieźć do domu. Nakarmił kota i zatelefonował do Madge.

– Wyjeżdżam na kilka dni. Mogłabyś się zająć Sapkiem?

– Przecież wiesz, że jestem uczulona na kocią sierść.

– Kup rękawiczki i maskę.

– Ale z ciebie bezduszny drań, Wyatt. Tylko dlatego, że potrafisz wspinać się po skałach, nie masz prawa uważać, że wszyscy inni to słabeusze. Tak się składa, że naprawdę mam alergię.

– Jeżeli nie możesz zająć się kotem, to po prostu mi o tym powiedz. Zadzwonię do kogoś innego.

– A mogę u ciebie zamieszkać?

Mieszkanie Wyatta było sporo większe od tego, które Madge wynajmowała, i znajdowało się w znacznie lepszej dzielnicy miasta.

– Jasne.

– Świetnie. Tylko spakuję leki przeciwalergiczne...

Niecałą godzinę później Wyatt pruł po Major Deegan Expressway, kierując się w stronę Nowej Anglii.

Odkąd Frannie z Coltem znikli, żaden Sinclair nie odważył się postawić nogi w Cold Spring w stanie New Hampshire. Chyba że w tej sprawie

Brandon Sinclair też kłamał. Zdaniem Wyatta, w relacji ojca na temat tragicznego wydarzenia sprzed czterdziestu pięciu lat było wiele niejasności i nie-domowień. Wcześniej Wyatt nigdy nie nalegał na odpowiedzi, nie próbował poskładać do kupy części łamigłówek. Nie chciał rozdrapywać bolesnych ran, poza tym uważał, że syn nie ma prawa wtrącać się do życia swojego ojca.

Ale teraz, w drodze na północ, zastanawiał się, czy on i ojciec kiedykolwiek zaznają spokoju, jeżeli cała prawda o Colcie Sinclairze i Frannie Beaudine nie wyjdzie na jaw, jeżeli to, co się stało tamtej nocy przed czterdziestu pięciu laty, nadal będzie owiane mgłą tajemnicy.

ROZDZIAŁ DRUGI

Starła się zignorować trzaski aparatu fotograficznego, jakie rozlegały się trzy metry za jej plecami. Kolejny dziennikarz! Większość reporterów reprezentujących prasę codzienną, plotkarską, telewizję i radio wyjechała z Cold Spring, kiedy okazało się, że ona, Penelopa Chestnut, pomyliła się; że wcale nie odkryła szczątków awionetki Colta Sinclaira i Frannie Beaudine. Jednakże paru wyjątkowo wścibskich dziennikarzy ociągało się z wyjazdem; widocznie postanowili zdobyć jak najwięcej nikomu niepotrzebnych informacji.

Ale czemu fotografowali ją, gdy szykowała się do lotu beechcraftem, tego nie była w stanie pojąć.

Był chłodny, wietrzny poranek. Nie mogła się doczekać, aby wzbić się w powietrze. Przed wyjściem z domu zaplotła włosy w warkocz, włożyła wygodny kombinezon, wrzuciła do torby kilka kawałków cheddara, jabłko oraz odrobinę świeżego syropu klonowego. Pełna dekadencja! Za dwadzieś-

cia minut będzie w górze, bezpieczna, z dala od ludzi, ich natrętnych pytań i pełnych niedowierzania spojrzeń.

– Słuchaj, Penelopo! – zawołał dziennikarz, zwracając się do niej po imieniu jak do koleżanki z pracy. – Przyjechałem z Nowego Jorku. Kawal drogi! Tylko po to, żeby opisać całą tę historię. Na Manhattanie wszyscy fascynują się Frannie i Coltem. Nic dziwnego. Byli bogaci, inteligentni, atrakcyjni, żądni przygód, przekłeci. Długo by szukać drugiej takiej pary. I co mam, do licha, teraz zrobić? Opisać jakąś stertę złomu?

Nie odpowiadała na pytania, nie wdawała się w rozmowy. Złomowisko z początku wieku. Nic lepszego nie potrafiła wymyślić. Może nie brzmiało to zbyt przekonująco, ale przynajmniej tłumaczyło obecność metalu. Gdyby powiedziała, że miała zwidy, że przed oczami ukazała się jej fatamorgana, tym bardziej nikt by nie dał jej wiary.

Dziennikarz nie zamierzał się poddać. Był chudy, brodaty i napastliwy.

– Trzeba być pewnym faktów, paniusiu, zanim się ściągnie prasę.

Penelopa odwróciła się na pięcie.

– Nikogo nie ściągałam. Sami się zlecieliście. Przykro mi, że niepotrzebnie straciłeś czas. Ale skoro już tu jesteś, wpadnij do baru „U Jeannie” przy Main Street na pyszny owocowy placek. Naprawdę warto go skosztować. Lub jeśli masz czas, poczekaj do trzeciej i wstąp do „Słoneczka” na podwieczorek. Moja mama i kuzynka Harriet pieką najlepsze babeczki w całym New Hampshire.

Trzeba skręcić w lewo z Main. „Słoneczko” mieści się nad samym jeziorem...

– Cholera jasna, nie przyjechałem do pieprzonego New Hampshire na jakiś placek czy babeczki. Zimno tu jak w psiarni! Wiesz, że w Nowym Jorku kwitną już żonkile?

– Przyślij mi choć kilka po powrocie.

Dziennikarz opuścił ręce. Aparat wisiał mu na szyi, mały, tandetny, na cienkim czarnym pasku. Facet pewnie był wolnym strzelcem. W każdym razie nie wyglądał na przedstawiciela „Newsday” czy „Timesa”.

– Dziwne. Spodziewałbym się choć krztyny skruchy, a ty...

– O co ci chodzi? Pomyliłam się! Nie ja pierwsza i nie ostatnia. A wy zlecieliście się jak sępy, zanim ktokolwiek z miejscowych władz zdołał cokolwiek sprawdzić i wydać jakieś sensowne oświadczenie. Czy to moja wina, że jesteście w gorącej wodzie kąpani?

Mężczyzna zrobił się czerwony jak burak. Penelope złękła się, czy ze złości nie rzuci w nią aparatem, ale po chwili ujrzała swojego ojca, który energicznym krokiem maszerował w ich stronę. W wymiętych roboczych spodniach i grubej, flanelowej koszuli nie wyglądał na człowieka, który zna się na samolotach i pilotażu. Ludzie nie doceniali wiedzy i doświadczenia Lymana Chestnuta. Był to trzeźwo myślący sześćdziesięcioletni jankes o siwych włosach i pokrytej bruzdami twarzy, który zawiadywał małym miejscowym lotniskiem. Składało się ono z trzech hangarów i jednego pasa

startowego. Jego personel stanowiły trzy osoby: Lyman, jego siostra Mary oraz córka Penelopa. Jeżeli sami z czymś nie mogli sobie poradzić, wynajmowali ludzi do pomocy albo zlecali pracę specjalistycznym firmom. Zimą i wczesną wiosną zazwyczaj panował w Cold Spring spokój. Ale latem i jesienią zjeżdżało się sporo turystów.

Lyman wskazał kciukiem za siebie, w kierunku parkingu.

– Proszę stąd natychmiast wyjść.

– Ja tylko... – zaczął dziennikarz.

– Osobom nie upoważnionym nie wolno tu przebywać.

Dziennikarz otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, po czym poddał się i posłusznie oddalił w stronę parkingu.

Penelopa uśmiechnęła się do ojca.

– Dlaczego ja na to nie wpadłam?

– Bo w tym tygodniu już wyczerpałaś zapas pomysłów.

– Co to ma znaczyć?

– Nic. Dokończ sprawdzania sprzętu – powiedział Lyman, po czym skierował się do biura, mieszczącego się w rogu jednego z trzech hangarów.

Wzdychając z rezygnacją, Penelopa wolnym krokiem obeszła maszynę. Doskonale wiedziała, co ojciec ma na myśli. Nie wierzył w bajeczkę o starym złomowisku. Nikt w nią nie wierzył.

Tego ranka, kiedy Penelopa obudziła się przed świtem, uzmysłowiła sobie, że nie ma wyboru. Musi odszukać to, co powiedziała. Brandon Sinclair, do

którego dodzwoniono się na St. Croix, oznajmił, że wyśle do New Hampshire prywatnego detektywa, aby reprezentował interesy rodziny. Awionetka, którą lecieli młodzi kochankowie, należała do Sinclairów, rozbiła się na ich ziemi, w dodatku Sinclair siedział za sterami.

– W porządku – powiedziała wczoraj po południu Penelopa, rozmawiając z Andym McNallym, miejscowym komendantem policji. – A kto będzie reprezentował interesy Frannie? Przecież nie wiemy, co się wtedy stało. Może Colt zabił Frannie, zanim samolot się roztrzaskał? Zdajesz sobie sprawę, że morderstwo nie ulega przedawnieniu?

Andy spokojnie odparł, że owszem, zdaje sobie z tego sprawę, po czym poprosił ją, aby nie wtrącała się do czegoś, co jej nie dotyczy. Środki masowego przekazu zostały już powiadomione, dziennikarze są w drodze. W tym momencie Penelopa zorientowała się, że ona, osoba, która dokonała odkrycia, nie ma nad niczym żadnej kontroli. Że odstawiono ją na boczny tor, a ktoś inny prowadzi rozpędzony pociąg.

Tyle że w całym tym zamieszaniu spowodowanym jej niezwykłym odkryciem zapomniano o jednym drobnym szczególe. Że to ona wie, gdzie się znajduje rozbity samolot. Ona i Bubba Johns, który przypuszczalnie nie zamierzał nikomu niczego wyjawiać.

Wczoraj wieczorem zauważyła czających się koło swojego domu dziennikarzy; nie spodobało jej się to, ale kiedy usłyszała, jak rozmawiają o tym, aby sfotografować ponacinane pnie, z których wy-

plywa sok, i „dopaść tego pustelnika”, zrozumiała, czym to wszystko może grozić. Zrozumiała też, że jeżeli temu nie zapobiegnie, tłumy dziennikarzy, fotoreporterów, policjantów oraz detektyw przysłany przez Brandona Sinclaira osaczą biednego Bubbę. Nawet gdyby jakimś cudem okazało się, że staruszek nic nie wie o rozbitym samolocie, to i tak dziennikarze by mu nie darowali. Zdjęcia długowłosego, rozczochranego pustelnika, mieszkającego w prymitywnej chacie na terenie należącym do rodziny Sinclairów uatrakcyjniłyby każdą relację, każdy artykuł. Z jednej strony dziwny odludek w łachmanach, z drugiej zaginiony dziedzic, odważny i przystojny, oraz jego kochanka, kobieta piękna, inteligentna, nie ustępująca mu odwagą.

Penelopa uświadomiła sobie, że nie tylko Bubba może stać się obiektem zainteresowania dziennikarzy, ale również Harriet. Biedaczka byłaby narażona na upokorzenie i wstyd.

Właśnie wtedy Penelopa powzięła decyzję. Pomyliła się. To, co wzięła za szczątki samolotu, było starym złomowiskiem, pewnie z początku wieku. Wczoraj późnym popołudniem wróciła do lasu i przekonała się, że popełniła błąd. Dziś z samego rana zamierzała zaprowadzić tam przedstawicieli władz miasta, ale nie udało jej się odnaleźć drogi – w nocy spadł śnieg i zasypał ślady. Nocne opady przynajmniej trochę uwiarygodniły jej wersję, ale Lyman Chestnut pozostał nie przekonany.

– Trudno – powiedziała sama do siebie. – Przynajmniej nikt nie będzie niepokoił Bubby.

Wsiadła do samolotu i biorąc głęboki oddech,